



KOBIETY Z KLASĄ

STEINUNN
SIGURÐARDÓTTIR

MO
VA

STEINUNN SIGURÐARDÓTTIR

KOBIETY Z KLASĄ

Z języka islandzkiego przełożył
Jacek Godek



TYTUŁ ORYGINAŁU:
Gæðakonur

Redaktorka prowadząca: Ewelina Kapelewska
Wydawczyni: Justyna Żebrowska
Redakcja: Ewa Kosiba
Korekta: Martyna Tondera-Łepkowska
Projekt i kompozycja na okładce: © Tomasz Majewski
DTP: Maciej Grycz

Copyright © Steinunn Sigurðardóttir 2014

Copyright © 2021 for the Polish edition by Mova
an imprint of Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Jacek Godek, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2021
ISBN 978-83-66890-19-0



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/wydawnictwo.mova



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl



W czasach, których nie sięgam pamięcią, na wsi w Brunasandur zaczynałam dzień od tego, że wspinałam się na kuchenny stół, przyklejałam nos do szyby i patrzyłam na lodowiec.

„Aj, aj, pa, pa, wieczorem sobie poszedł... Aj, aj!” – recytowałam, jeśli nie było go widać.

Nazywałam go Wodowcem, bo nie umiałam wymówić „jökull” (isl. lodowiec) i jeśli z rana znów go widziałam, mówiłam: „Wodowiec wrócił!”. Powtarzałam te słowa, tańcząc.

Latem, kiedy z rzadka nie wy pływał w morze, tata przylatywał lub przyjeżdżał samochodem z Akureyri do mnie i do mamy, do Brunasandur. Podczas jego obecności nie musiałam rano wspinać się, żeby ujrzeć lodowiec, ponieważ tato już nie spał i stawiał mnie na stole. I trzymając, żebym nie spadła, wskazywał ze mną palcem w jego stronę i razem trajkotaliśmy: „Wodowiec wrócił... halo!” albo „Aj, aj, pa, pa...”.

Po raz ostatni tata odprawił nasz poranny ceremoniał w domu przy kuchennym stole dzień przed utonięciem – wyśpiewał mi moje brednie o Wodowcu, który zmieniał się w Miśia, jak słusznie zrozumieliby ci, którzy kojarzą gaworzenie małych dzieci.

Kiedy spadliśmy z Bardurem z lodowca, dwieście metrów w dół, i nie było od nas żadnych wieści przez dziesięć godzin, mama zachowała spokój i każdemu, kto pytał, powtarzała, że gleczer mnie zwróci, bo jestem wieśniaczką na starej umowie na wyłączność.*

*To jest coś, pod czym się podpisuję – umowa na wyłączność. Upadek z wysokości trzech wież kościoła Hallgrímskirkja to coś, czego ani ja, ani Bardur nie spodziewaliśmy się przeżyć. Nasz dżip stracił przyczepność i zaczął się staczać. Podczas tego gwałtownego zjazdu z chmur odbijającą się od skał rozchwie-
rutaną windą – wśród wzbijających się w powietrze niezliczonych białych gwoździ, okrutnie raniących moje ramiona i usiłujących oderwać je od tułowia – świat zdawał się skończony i ograniczony, a ja z całych sił przyciskałam ręce do ciała, słysząc, jak łamią się wraz z końcem żywota... Ten jeden raz płakałam z bólu i tęsknoty większej niż sam żal.*

Ta wieczność w powietrzu trwała podobno siedem sekund i w momencie Wielkiego Upadku z hukiem się rozmyśliła, po czym ogarnęła nas cisza i za jej przyzwoleniem przekroczyliśmy granicę krainy żywych, a pierwsze, co pomyślałam, to czy sprzęt – pożyczone drogie przyrządy do pomiaru drgań sejsmicznych – nie uległ zniszczeniu.

Części auta, aparatura, skrzynki z narzędziami zostały rozrzucone w promieniu jakichś dwustu metrów, między jęzorami lawiny. Ratownicy nigdy nie widzieli czegoś podobnego i nie przyszło im nawet do głowy, że w tych okolicznościach jedna kobieta i jeden facet mogą jeszcze dawać jakieś oznaki życia.

* Dawne określenie lodowca (przyp. red.).

Lodowiec zwrócił nie tylko mnie – zgodnie ze starą umową – ale również Bardura Stephensena (oboje w fatalnym stanie), pozostawiając za nami kręty krwawy trop czworonogiej cudacznej bestii, ciągnącej za sobą namiot, który miał chronić przed lawinami po tym, jak jedna z nich niemal nas wykończyła. Lodowiec zwrócił mnie w chwili ostatecznej... Zaczynało się ściemniać i było mi już tak ciężko, że nie przetrzymałabym nocy w namiocie, który zdążył zamienić się w worek z zamkiem błyskawicznym – nie taki na zwłoki zmierzające do wilgotnego grobu, lecz na dwoje obolałych rozbitków na czaszy lodowca, oczekujących na własną śmierć, co można było wyczytać w ich twarzach, gdy zostali odnalezieni.

DONNA W SAMOLOCIE



MNIEJ WIĘCEJ WTEDY, kiedy mężczyźni przestali zwracać na mnie uwagę, zainteresowały się mną kobiety, ale nie od razu to zauważyłam. Absolutnie. Czas reakcji wydłużył mi się, gdy chodzi o coś innego niż sprawy związane z nauką.

Ta nowa konstatacja o kobietach i ich uwadze trochę drażni i wzbudza we mnie szydlerczy strach, również dlatego, że nie rozumiem, co one we mnie widzą. W jakiejś tam babie, która przestała dbać o wygląd i odzież i zrobiła się ociężała – nie tylko, jeśli chodzi o wagę.

A ona zaczyna na mnie zerkać pożądliwie – ta elegancka kobieta z rejonu Morza Śródziemnego, siedząca po drugiej stronie przejścia w samolocie do Paryża. Mruga niczym biblijne niewiasty, które kuszą mężczyzn rzęsami. Wysyła drobne sygnały, jak lekkie wysuwanie czubka języka. Ostre to – albo prawdziwe, albo zna tę sztuczkę.

Jest wysoka, szczupła, od stóp do głów ubrana na czarno. Kruczoczarne włosy, splecione w podwójny warkocz i przerzucone przez ramię, spoczywają na piersi, która jest bliżej mnie. Zachowanie tej damy jest przemyślane w najmniejszym szczególe, ale to włosy i masywny złoty krzyż czynią ją wyjątkową. Tak niefortunnie jednak się składa, że współistnienie głównych bestii, krzyża i warkocza, nie układa się najlepiej i regularnie trzeba je poprawiać, jeśli mają korzystnie wyglądać.

Lekkie turbulencje powodują, że śniadej kobiecie ledwie udaje się uratować szklankę. Spogląda na mnie złęknona. Patrzę na nią niczym matka, szczęśliwa, że udało mi się pozbyć lęku przed lataniem, szczęśliwa, że nie siedzę w toalecie. Nie cierpię samolotowych toalet, zwłaszcza wtedy, gdy w momencie siadania na sedesie zaczynają się turbulencje.

Passażerom nakazuje się zapiąć pasy, podnieść stoliki. Nieco zniewieściały steward teatralnym gestem odbiera od kobiety szklankę. A ona patrzy na mnie przerażona, błagając o schronienie, jakbym była skalną kryjówką dla spanikowanej owcy podczas burzy.

Ale nie jestem schronieniem wśród skał, ona nie jest owcą i nie ma burzy. I nagle wstępuje we mnie pies i zdecydowanie kręć głową w jej stronę: „Dzięki, już wystarczy, weź daj sobie spokój; o ile się orientuję, ostatnio aż po opuszki palców interesowali mnie mężczyźni”.

Miałam zamiar wykorzystać czas podczas lotu i przejrzeć swój wykład na temat zagrożenia opadem pyłów wulkanicz-

nych z Bardarbungi, do którego wygłoszenia na konferencji w Clermont-Ferrand namówił mnie mój dawny profesor, Peter White, ale jestem niewyspana i brak mi ostrości spojrzenia, więc wybieram *Wiernego ogrodnika* Johna le Carré. Wkładam różowe okulary do czytania i zatapiam się w książce, którą czytam po raz drugi, jakby była nowa. Mam talent do zapominania każdej lektury, chyba że dotyczy mojej pracy.

Kiedy przypomina mi się kobieta z krzyżem, wykorzystuję technikę patrzenia spode łba, której nauczyłam się, gdy mój mążnek Diddi się obrażał. Spoglądałam na niego, aby się przekonać, czy już mogę się do niego odezwać, a ponieważ go to denerwowało, byłam zmuszona się maskować. Teraz widzę, że moje obcesowe zachowanie dotarło do niej i siedzi dość pochmurna. Poza tym boi się, bo samolot wariuje.

Czytam dalej, choć mam dość tego trzęsienia, i potajemnie śledzę, jak Kobieta Śródziemnomorska prosi o coś stewarda. Brakuje jej leku na awiofobię – whisky.

Ma ciekawy głos, szemrząco miękki i skrzecząco wulgarny. Akcent włoski, intonacja własna, domowej roboty z kraju na dalekim południu, gdzie słońce ogrzewa i karmi zielone i fioletowe oliwki wśród srebrnych liści.

Steward mówi, że turbulencje zaraz miną, a z nimi niebezpieczeństwo, i kładzie drobną dłoń na ramieniu dźwigającym czarny warkocz.

Tembr głosu donny przypomina Roda Stewarta śpiewającego *I am sailing, stormy waters...*

Rod Stewart na starym teledysku, który mój umiłowany mężczyzna A tak bardzo cenił. Rod Stewart płynący wzdłuż Manhattanu, z dziewczecą, smutną miną i w marynarskiej czapce... *To be with you... to be free...*

Mimo iż turbulencje minęły, a kobieta dostała drinka pocieszenia, jej pełne klasy oblicze się nie rozjaśnia. Czyżby miała zawiedzioną minę? Z mojego powodu? Oczywiście musiała zauważyć, że zapomniałam się i zagapiłam na nią. To nie jest wykluczone. Od kiedy to wiemy dokładnie, jakie wysyłamy znaki mówiące o naszych skłonnościach? Co najmniej połowa jest naturalnie fałszywa, ponieważ chcemy i nie chcemy, i nie mamy pojęcia, czego chcemy, choć wydaje nam się, że wiemy...

Czy to na tym poległam? Że chciałam i nie chciałam? A jeśli tak było, że chciałam i nie chciałam? Czy to go odstręczyło? Mężczyznę, którego oplakuję i który wciąż jest obecny w moich snach, po tylu latach. A może to nie ja, tylko on sam się odstręczył z jakichś niewiadomych powodów.

Śnię o nim i śnię. Ostatnio minionej nocy, a potem jeszcze rano, podczas jazdy na lotnisko w Keflaviku.

Odwoził mnie chevroletem, którego miałam, kiedy byliśmy razem. Wysiadłam z auta przed jego domem – musiałam to zrobić, żeby przesiąść się na miejsce kierowcy. To było zimą, miał na sobie kurtkę kozuchową, przyciągnął mnie do siebie w ciemności, oplótł miękkimi jagnięcymi ramionami i szepnął mi coś na ucho.

– Nie słyszę – powiedziałam.

– SURE – odparł. – *Sure* się cieszę, że cię widzę.




Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 facebook.com/wydawnictwo.mova



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059